

Ks. Boharsik Pál

Piarista Ház

V A C

NIK POLSKI

MATERIAŁY OBOZOWE

Rok II (IV)**Budapeszt, niedziela 20 lutego 1944****Nr 8 (31)**

N.

SYMPTOMY CZASU

Prasa zagraniczna mocno zajmuje się sprawami włoskimi, zwłaszcza dotyczy to prasy szwajcarskiej jako kraju graniczącego z Włochami. »Journal de Genève« tak charakteryzuje ostatnie posunięcia władz neofaszystowskich. »... To co się dzieje w północnych Włoszech stanowi istną rewolucję społeczną. Jak wiadomo Mussolini postawił wniosek na radzie ministrów obradującej pod jego przewodnictwem w sprawie socjalizacji przedsiębiorstw. Wniosek jego został uchwalony. Z wypowiedzi Mussoliniego można sobie wyrobić przedstawienie o nowej strukturze włoskiej gospodarki neofaszystowskiej. W pierwszym rządzie została zwiększona centralizacja administracyjna oraz kompetencje władz republikańskich. Państwo obejmuje nadzór nad wszystkimi przedsiębiorstwami, decydującymi dla rozwoju gospodarczego kraju, będą one w przyszłości kierowane przez państwo, przeprowadzi się socjalizację tych przedsiębiorstw o znaczeniu ogólniejszym społecznym, które pozostają w prywatnym posiadaniu. Co więcej utworzono zarządy dla każdego przedsiębiorstwa rządowego. Zarządy sprawują robotnicy, urzędnicy oraz specjaliści. Podobnie zostanie ustanowiony nowy zarząd dla przedsiębiorstw prywatnych. Pisma, na których wychodzenie zezwoliły niemieckie władze okupacyjne, twierdzą że ta socjalizacja będzie wkrótce wprowadzona w życie. Nieznane są jeszcze kategorie przedsiębiorstw które przejdą pod taką kontrolę, przypuszcza się jednak że obejmie ona w pierwszym rządzie wielkie fabryki. Rozstrzygnięcie takie ułatwia fakt, że wszystkie wielkie przedsiębiorstwa są spółkami zagranicznymi z udziałem zagranicznego kapitału. Trzebaby dużo miejsca na opisanie reakcji kół włoskich na te nowe zarządzenia. Finansiści zareagowali krachem, który dał się zauważyć na wszystkich giełdach w północnych Włoszech. Zaniepokojone koła gospodarcze zapytują, w jakiej formie władze praktycznie wprowadzą te ograniczenia własności prywatnej jako próbę pozyskania szerokich mas. Masy zaś, zdają się nie dowierzać zachętom władzy do wzięcia udziału w bezpośrednim kierownictwie wielkich przedsiębiorstw. Nowe zarządzenia mają wielki oddźwięk we Włoszech i zagranicą. Nie można też wylączyć przypuszczenia, że jest to manewr polityczny na

wielką skalę. Aby sobie wyrobić pełny pogląd, wypadnie czekać na pierwsze skutki zarządzeń.

Tyle »Journal de Genève«. Niewątpliwie tło wydarzeń w północnych Włoszech jest dość skomplikowane. Przewrót z 25. VI, który doprowadził do aresztowania Mussoliniego i mianowania marszałka Badoglio miał charakter odgórny. Wielka Rada Faszystowska zajęła w ogromnej większości stanowisko przeciw Mussoliniemu które oznaczało, że członkowie Rady uznawszy wojnę za przegraną postanowił wycofać się z walki, uważanej za bez nadziejną i powierzyć dynastii likwidację pokojową władzy faszystów. Ale istniały przecież olbrzymie kadry faszystów — setki tysięcy ludzi, którzy związali z faszystem wszystkie swe nadzieje i widoki życiowe. Okupacja Włoch środkowych i północnych przez wojska niemieckie, uwolnienie Mussoliniego z aresztu zgławanizowało na nowo ich nadzieje — jednocześnie oburzenie faszystowskich rzesz zwróciło się całą siłą przeciwko tym którym uważali za zdrajców. Stąd nienawiść która ujawniła się między innymi podczas procesu weronckiego, którego ofiarą padł zięć Mussoliniego Ciano wraz z szeregiem starych kierowników partii.

Opuszczony przez dygnitarjat partyjny Mussolini znalazłszy się na wolności postanowił wykorzystać te nastroje. Niedawno w artykule »Droga powrotna« omawialiśmy charakterystyczny objaw we Francji dzisiejszej — pewnego zbliżenia się stanowisk obozów w niektórych kardynalnych zagadnieniach, przy trwaniu nadal a nawet zaostrzaniu objawów walki politycznej.

W radykalnych posunięciach Mussoliniego, mających niewątpliwie cele taktyczne, objaw ten występuje jeszcze wyraźniej. Wódz faszystów podjął poprostu pewną licytację programową z lewicową częścią swych przeciwników.

Rzecz charakterystyczna, iż lewicowe partje antyfaszystowskie działające we Włoszech południowych zajmują znów pod niejednym względem stanowisko bardziej umiarkowane niż dotychczas. Dzieje się to niewątpliwie nietylko dlatego, że stronnictwa te chcą utrzymać jednolity front z umiarkowanymi liberałami jak i dlatego, że faszystów w okresie pobytu swego u władzy zdrenował, by tak rzec inne stronnictwa,

odciął je od kontaktów z masami społecznymi zamienił w grupki ideologów i spiskowców którzy teraz zmuszeni są powoli nawiązywać kontakt z szerokimi masami. Stąd może to paradoksalne na pierwszy rzut oka zjawisko, że Mussolini radykalizuje całą parą przejmując program lewicy, a partie radykalne we Włoszech południowych prowadzą taktykę ostrożną i dość wyczekującą. Przy tym wszystkim nie może uść uwagi, iż dalszemu zaostrzeniu się postawy przeciwnych obozów towarzyszyć się zdaje jakby poza świadomością walczących obozów zbliżenie się stanowisk w sprawach kapitalnych. Jest to niewątpliwie

uboczny wynik wielkiego przewrotu, który towarzyszy wojnie obecnej.

W dziejach wielkich przewrotów przeszłości i wojen domowych da się zauważyć to zjawisko, że wrogie obozy w toku walki jakby niwelują swoje stanowiska, zbliżają je gdy idzie o sprawy praktycznego rozstrzygnięcia problemów aczkolwiek skłócone partje prowadzą dalej walkę nieprzejednaną walkę polityczną. Objaw ten wróży nieuchronny schyłek walki. Dlatego pod tym względem wydarzenia we Włoszech mające skądinąd odpowiedniki swoje w innych krajach stanowią interesujący symptom naszych czasów.

ROT

W kalejdoskopie francuskim

Ostatnie wiadomości jakie podaje budapeszteńska prasa z Francji sygnalizują zaostrzenie kursu Vichy wobec partyzantów, czy t. zw. »refractaires« uchylających się od służby pracy czy wyjazdu do Niemiec. W Vichy określa się ich oficjalnie mianem »bandits« — podczas gdy komunikaty władz niemieckich, mówiące o wyrokach niemieckich sądów polowych, określają partyzantów jako »franc-tireurs« (wolni strzelcy). Zaostrzenie kursu wobec partyzantów nastąpiło na skutek objęcia stanowiska szefa policji przez p. Józefa Darnand, zwolennika polityki silnej ręki. Już nawet obecnie reżim panujący w Vichy określa się dwoma nazwiskami Laval—Darnand.

Jednym z pierwszych zarządzeń nowego szefa policji Vichy było wysłanie do Górnej Sabaudii 17 szwadronów »garde mobile«, aby urządziła wielką obławę na uciekinierów i partyzantów. Doszło już przynajmniej do starć. W związku z tą akcją francuskie audycje z Londynu wzywają żołnierzy »garde mobile«, by nie walczyli ze swymi rodakami i nie wypełniali rozkazów szefa policji w Vichy.

Mimo oczywistego krystalizowania się i krzepnięcia opinii francuskiej — liczne są jeszcze objawy chaosu i zamieszania. Zagadką początkowo było naprzykład zamordowanie znanego przywódcy radykalno-społecznego b. min. Sarraut, wydawcy »Dépêche de Toulouse«. O morderstwo to posądzano początkowo francuski ruch podziemny, okazało się jednak, że zabójcami byli członkowie milicji.

O ile w szerokich masach na ogół zdaje się panować dość jednolita opinia, o tyle w sferach przemysłowych czy urzędowych zaznacza się dziś pewna chwiejność. Wielką sensacją wywołała sprawa przeciwnika kolaboracji hr. Roberta de Vogue, właściciela znanej wytwórni szampana Moët et Chandon. Przemysłowiec ten został aresztowany, a sprawa wywołała olbrzymi rozgłos w okolicach Reims i Epinay. Była to naprawdę »szampańska« sensacja, a reakcja jaką wywołała tak wielka, iż sekretarz związku producentów szampana Leflond wydał nawet apel do robotników wytwórni szampana, by przystąpili do strajku protestacyjnego w obronie swego »patrona«. Ostatecznie władze okupacyjne przejęły w swój zarząd wytwórnię szampana Moët

et Chandon oraz Pieper et Heidsieck. Nie wszyscy jednak wytwórcy szampana są tych samych przekonań co hr. de Vogue. Ks. de Polignac naprzykład, właściciel słynnej wytwórni Mummet Co. dotrzymuje w Paryżu kroku takim kolaboracjonistom jak de Brinon, Jean Luchaire, Eugène Schneider czy de Fabre Luce.

Rozdwojenie objęło również i monarchistów. Oto okazało się, że p. Maurras i jego »Action Française« otrzymała konkurencję. I to nie bylejaką. Jak z pod ziemi wyrósł nowy monarchiści i to dość oryginalni c. k. Tak jest cesarsko-królewscy. Organ ich »Courrier Blanc« który też nagle wyrósł jakby z pod ziemi nawołuje do łączenia się burbonistów, orleanistów i bonapartystów. Dla takiego legitymisty, jak p. Maurras jest to oczywistą herezją. Zwalcza więc ostro na łamach swego pisma nowe ugrupowania. Mimo wszystko »Courrier Blanc« nie posiada tak szerokiego zasięgu, jak inne tego rodzaju pisma francuskie, reprezentujące jednak inne kierunki polityczne. Większy zakres czytelników posiadają »Cahiers du temoignage catholique« reprezentujące lewicę katolicką oraz »Cahiers de liberation« organ związków zawodowych. Socjaliści czytają swego »Populaire« a skrajna lewica »Humanité«.

Na Północy rozpowszechniony jest »National du Nord« i »Le père Duchesne«, w sferach demokratyczno-mieszczkańskich rozchodzi się »Resistance« — w terenie między Jurą, Renem, Ardenkami i Marną popularny jest »La défense de la France et de la Lorraine«. Wreszcie jeden z największych nakładów osiągnął »Combat« (300.000) mając nakład większy niż »Gringoire« i »Candide« razem wzięte.

Jak widać w prasie reprezentowane są wszystkie kierunki, przyczym jednak prasa lewicowa rozporządza większą ilością organów i o dalszym zasięgu. Prasa ta podkreśla, że Francji potrzebne są daleko idące zmiany ustrojowe. Świadomość konieczności przemian objęła zresztą cały naród francuski, bez względu na przekonania. Klęska czerwca 1940 roku miała swoje konsekwencje. Nastąpił wielki wstrząs narodu, który usypiany był mirażem bezpieczeństwa »linii Maginota« i kołyszany wizjami wiecznego dobrobytu. Wiele z tego, co Francuz uważał za niewzruszalne

— runęło. Trzeba szukać nowych podstaw, trwalszych i bardziej niewzruszalnych.

Niewątpliwie szerokim echem odbiła się we Francji słynna opinia marsz. Smutsa, stwierdzającego, że po wojnie w gronie mocarstw przodujących nie będzie Francji. Nie będzie — tam zdaniem tego wybitnego przedstawiciela jednego z dominiów W. Brytanii, miejsca dla żadnego z państw łacińskich. Obie »siostrzyce łacińskie« nie zbyt dobry zrobiły interes na tej wojnie, zresztą nie mając wielkich inklinacji do wojowania. Imperium kolonialne Włoch i Francji stoi pod znakiem zapytania, jak zresztą wogóle stoi pod znakiem zapytania w ogóle kwestia organizacji i kontroli nad obszarami kolonialnymi.

Jaka jest więc przyszłość Francji? Zadowolnić się metropolią i pilnować Renu? I znowu nie rodzić dzieci w obawie, że je i tak zabiją na najbliższej wojnie, która rozegra się o problemy mało zrozumiałe dla przeciętnego Francuza, który nie umie jeszcze myśleć kategoriami światowymi.

Jeżeli mają przyjść głębokie przemiany wewnętrzne, jeżeli Francja nieśmiertelna, zapatrzona w geniusz swej historii, odrodzi się wewnętrznie, to jaka będzie jej pozycja w Europie, w świecie. Niewątpliwie przyszłość należy dopaństw silnych, które autorytetem swego sprawiedliwego postępowania, popartego potężną siłą zbrojną, bazowaną na przemysłach, jakich nie będą posiadać państwa mniejsze — zapewnią długotrwałą pokój.

Niektórzy chcą zwrócić ambicje Francji w innym kierunku. Objęcia raczej roli znowu przewodniczki w międzynarodowym życiu kulturalnym. Sztuka czy literatura francuska po przejściach wojny i okupacji nabiera nowego »elanu« — i może znowu zdobyć świat, który po wojennym zwyciężeniu szukać będzie innych podniet. Francuzi zresztą nie mają dziś ambicji odgrywania roli Rzymu i zagarniania dla siebie całego »orbis terrarum«. Te ambicje — w sensie oczywiście dodatnim — opiekuńczym, posiada kto inny. Chcą być przynajmniej Grekami...

Oczywiście proponderancja kulturalna nie wyczerpie wszelkich aspiracji narodowych Francji. Trzeba oprócz byt polityczny o jakiś system polityczny, ponad państwowy. Państwa połączone w pewne kompleksy mniej lub więcej posiadające charakter federacji czy bloków, mają szanse uzyskania lepszych pozycji w przyszłych systemach międzynarodowych. I tu warto zacytować projekt hr. Sforzy, który na łamach amerykańskiego kwartalnika politycznego »Foreign Affairs« ogłosił artykuł programowy, dotyczący przyszłych stosunków Włoch z państwami sąsiednimi. Otóż hr. Sforza wywodzi, że w masach włoskich wojna z Francją była niepopularną, że Włochy i Francja mają głęboko zakorzenione przywiązanie do tradycji demokratycznych. Pozycja obu krajów będzie po wojnie trudna i mocno osłabiona. Francja i Włochy, które nie umiały znaleźć wspólnego języka przed tą wojną — mogą go znaleźć teraz. Hr. Sforza rzuca tu znamienne zdanie: »Po popelnio-

TADEUSZ FANGRAT

Noc na dworcu

*Pamiętasz noc na dworcu
cichością snów niemą,
noc z tobołkami w trzeciej klasie,
zwaloną przez niemoc,*

*noc pogmatwaną nóg spletem
w dziegciowym powietrzu,
kiedy się sączył mdły opar
w płuc chorobliwe wnętrza.*

*gdy kaszel spadał gromem
w chór przeraźliwych chrapań,
gdzieś machorką ktoś zionął,
oczy chciały płakać?...*

*Pamiętasz noc dworcową,
przytloczoną ciemnią,
sen wyrzuca z ust słowa,
oddechy się kłębią;*

*kąt mały między ściany
przytulnic się wtoczył,
w dwa serca rytmu zamęt
krew ze szczęściem tłoczy,*

*mily dotyk mnie muska,
kiedy oczy zmrużasz,
i w uśmiech składasz usta...
Jak ten czas się smuży*

*obrotami zegarów —
a my wciąż w kłopotcie,
że przerwie słodką marę
nadchodzący pociąg.*

nych w przeszłości błędach ani Francja ani Włochy nie zdobędą przez siłę szacunku świata. Zdobyć ten szacunek mogą tylko dla siebie zdobywając uznanie i podziw za osiągnięcia moralne.

Hr. Sforza rzuca projekt federacji państw łacińskich, do bloku tego wciągniętoby Hiszpanię, a w dalszej przyszłości może Jugosławię i Grecję. W ten sposób nastąpiłaby stabilizacja w basenie Morza Śródziemnego.

Jest to na razie projekt. Lecz jak wskazywaliśmy — w wojnie obecnej państwa łacińskie odgrywają raczej rolę lierniejszą. Związek łaciński z dobudową wschodnią byłby może próbą przeciwstawienia się zbyt silnemu naporowi wpływów czy to od wschodu czy od północy.

BOLESŁAW POMIAN

PÓŁNOCNĄ TRASĄ

Z REPORTAŻU O LOTACH NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Opuszczamy Grenlandię.

Z reportażu o lotach na Dalekiej Północy.

... Motory grają swą jednostajną, równą pieśń. W słuchawkach intercomm rozbrzmiewa znany rozkaz z Control-Tower.

— BZ 399 — go ahead !

Głos Julka jest zawsze niezmienny :

— Gotowi ! — Startuję !

Start jest w odwrotnym kierunku niż lądowanie. Z góry w stronę jeziora. Boston nabiera odrazu rozpędu i jesteśmy w powietrzu na połowie runwayu. Samolot leci wprost na ścianę gór — skręt — znowu ściana gór — znowu skręt — i tak kręcąc się nad niewielką kotliną, której dno stanowi jeziorko, Julek wywindowuje Bostona na 8000 stóp. Przełęczą między górami odchodzimy od lotniska. W miarę zbliżania się do łańcucha gór, stanowiącego wewnątrz Grenlandii, Julek wciąż nabiera wysokości i gdy dochodzi do centralnego pasma, Boston ma już 12.000 stóp. Słońce przegląda przez szerokie okna w chmurach : widać rozległe plamy jasnego nieba. Lodowe chmury lśnią w słońcu, jak płynne szkło. Narastające wiekami, nigdy nie topniejącego złoza lodu wygładziły każdą ostrzejszą krawędź, zaokrągliły każdy szczyt. Pod warstwą węższego lodu wszystko jest gładkie — każdy kontur zamyka się w geometrycznych, czystych krzywiznach. Lodowce stoją teraz w chwale słonecznych blasków — lśnią miliardami rozsypanych iskier — odbijają swe białe sylwetki w granatowych zwierciadłach fiordów — ale w tym wszystkim jest jakaś dziwna, niepojęta groza. Lodowce są bezsprzecznie piękne — ale jest to piękno śmierci. Samolot unosi się nad setkami kwadratowych mil, na których niema żadnego, ale to żadnego życia. Lody i mrozy panują nad niezmierną krainą białej śmierci. George podnosi się ze swego krzesła i wypatruje oczy, czy nie dojrzy nareszcie granatowej linii Atlantyku. Raczej ocean niż te straszliwe lodowce. Raczej mieć pod sobą rozszalałe zimowymi burzami, grzywacze Atlantyku, niż te białe, lśniące zimnym blaskiem słońca lodowce. Z radością wita George linię oceanu. Ocean to walka. Walka, to zwycięstwo lub klęska. Ale zawsze jest możliwość walki, a jeśli się walczy do końca, śmierć wyprzedzi zawsze świadomość klęski. A białe pole, to śmierć.

Pierwsze dwie godziny lotu upływają spokojnie. Wszystko jest zgodne z planem lotu. Na mapie krzyżyki fixów, znaczących położenie samolotu, opuszczają się ku południowo-wschodniej, ku odległej o równe tysiąc mil, Szkocji. Pod koniec drugiej godziny lotu pogoda pogarsza się fatalnie. Grożące oblodzeniem cumulusy są już znacznie ponad 16.000 stóp, a na niektórych obszarach, wypiętrzają się

wyżej, niż może się wznieść obciążony paliwem Boston. Julek przypuszcza, że wypiętrzenia mają charakter miejscowy i że przebiecie ich użyje tak mało czasu że nawet zapowiadany »heavy ice in CU« nie zdąży chwycić Bostona w swe śmiertelne szpony. Julek ma za sobą tyle już lotów w najcięższe zimowe pogody, przeszedł już tyle śnieżyc w swych dalekich samotnych lotach nad Polską, Czechami, Norwegią, że George, który za swych szetlandzkich czasów nabrał należytego respektu przed oblodzeniem — zgadza się z decyzją swego skippera na wejście w cumulusy. Boston wchodzi w szarobrudną mgłę. Okna kabiny okrywają się perełkami rosy. George nie widzi już nic z otaczającego go świata. Kropelki krzepną, łączą się w dziwne wzory i zastygają na szymbach białą, lodową powłoką.

George patrzy na szybko mierzący i wysokościomierz. To jedyne teraz wskaźniki, że lot odbywa się normalnie. Strzałki tkwią nieruchomo : 220 mil i 18.000 stóp. Busola wskazuje kurs. A więc wszystko jest O. K. tylko powłoka lodu staje się coraz grubsza, narasta z każdą minutą lotu wśród cumulusów. Po ośmiu minutach lotu, sprawdzają się przypuszczenia Julka, samolot wychodzi z chmur. Boston leci pomiędzy dwiema warstwami chmur. Warstwa dolna kończy się na 16.000 stóp, górna zaczyna się od 19.000 stóp. W tej wolnej od cumulusów przestrzeni Boston leci ku swemu celowi. Po kilkunastu minutach lotu warstwy się schodzą, i znowu samolot tonie w kłębiastych ołowianych chmurach, znowu okna kabiny perlą się rosą, która w zetknięciu z metalem, czy szkłem samolotu — krystalizuje się w szron. Po sześciu minutach samolot znowu wychodzi na wolną od Cu. przestrzeń. I tak przez całe długie, następne 80 minut, co kilkanaście minut Boston przecinać musi wypiętrzenia grożące oblodzeniem chmur. Na szczęście okresy te są tak krótkie, że samolot wychodzi z chmur, zanim narastający szybko lod stanie się groźnym niebezpieczeństwem. Kółeczka, oznaczające na mapie pozycje samolotu, postępują stale na wschód. Już zbliżają się do 25 stopnia długości zachodniej. George wierzy, że jeśli uda im się dolecieć do 18 stopnia długości zachodniej, wszystko będzie O. K. Na wschód od 18 stopnia zachodniej długości wejdą w obszar Atlantyku już »znajomy« z dawnych czasów pełnienia służby ochrony konwojów. Tam będą nad znanym obszarem wód. Tam każda kwadratowa mila oceanu została ongi zmierzona i poznana na starych, kochanych krowach Whitley'ach.

W walce z obmarzaniem.

W kilka chwil po wkreśleniu na mapę pozycji samolotu na wschód od 22-go południka samolot

wchodzi w ścianę chmur. Chmura wydała się jakby bielsza i o wiele weselsza od swych ołowianych poprzedniczek. Okna kabiny po raz nie wiedzieć który pokryły się białymi kryształkami lodu. George utkwil wzrok w strzałki przyrządu. Przez pierwszych 16 minut wszystko było normalnie — w 17-tej minucie George ujrzał, jak strzałka szybko mierza zaczyna opadać w dół: 200 mil, 160 — 120 — 80 — 40 — 0. Na 0 strzałka zatrzymała się. Strzałka wysokościomierza tkwiła uparcie na 17.000 stóp — igła busoli trwała na wskazanym kursie. Oznaczało to jedno. Samolot leci — gdyż utrzymuje wysokość i kierunek. To tylko rurka Pito okryła się lodem i nie wskazuje różnicy ciśnienia a co zatem idzie szybkości. A jeśli obmarzła — mimo elektrycznych podgrzewaczy rurka Pito, czy nie obmarzną za chwilę — mimo podgrzewania — gaźniki motorów?

Mijały długie minuty, wypełnione pełnymi niepewności sekundami. Białe kwiaty narastającego lodu okryły szklaną kulę nawigacyjnej kabiny, oddzielając ją od otaczającego świata kryształkami lodowych wzorów. Tylko strzałka wysokościomierza i igła kompasu wskazywały, że samolot wciąż jeszcze utrzymuje kierunek i wysokość. W pewnej chwili melodia łomotu śmigieł stała się odmienna, jakby bardziej głęboka i o kadłub samolotu zadzwoniły uderzenia drobnych odprysków lodu. To pilot zmienił skok śmigła, ażeby w ten sposób spowodować oderwanie się narastających warstw lodu od śmigieł. Sytuacja była jasna. Znajdowaliśmy się w sferze, ciężkiego oblodzenia i samolot mógł albo ją przebić albo zginąć. Motory miały dostateczny nadmiar mocy, by udźwignąć dodatkowy ciężar okrywającego samolot lodu — ale wszystko zależało od karburatorów. Czy elektryczne ogrzewacze zdążą stapiać lód narastający u otworów dysz? Czy utrzymają dysze otwarte? Dziecinne serca tysięcy konnych motorów i męskie serce pilota biły w jeden takt: nie dać się! — nie dać się! — nie dać się!

Wskazówka wysokościomierza zaczęła wolno opadać: 16.900 stóp — 16.800 — 16.700 — 16.600. Nic się nie zmieniło w kabine nawigatora. Igła kompasu na 120 stopni. Piękne białe kwiaty pokrywały ściany kabiny, na mapie leżały ołówki, kątomierze i cyrkle, i »Pani Żyrafa« otulona w w ciepłe futerko śledziła swymi porcelanowymi oczyma opadającą szybko strzałkę wysokościomierza, która swą gorączkową oscylacją ku coraz to niższym cyfrom alarmowała, że oto zbliża się koniec przygody, i że za kilkanaście minut idealny spokój i komfort nawigacyjnej kabiny zostaną gwałtownie zakłócone. 12.000—11.900 — 11.800—11.700—11.600. George wie, że może zaufać swemu skipperowi. Że jeśli ten schodzi, to widocznie tak być powinno i nie należy pytaniami odrywać jego uwagi skupionej na czułych przyrządach lotu bez widzialności. Mimowoli przypomina się George'owi załoga jednego z Whitleyów, którą uratowano po 20 godzinnym pływaniu na »dinghy«, zimną na północnym Atlantyku — tylko 20 godzin, a przecież wystarczało, by całej załodze musiano

amputować grożące gangreną dłonie i stopy. 9000—8900—8800— —8600. Nikt nie przerywa milczenia, nikt nie chce przeszkadzać skipperowi, który po przez białe puszyste obłoki, prowadzi »na przyrządy« przeciężoną lodem maszynę. Zresztą po co pytać i tak za kilka chwil wszystko będzie wiadome. Za kilka minut cała przygoda będzie »over«. George ustala pozycję samolotu i na mapie kreśli małe kółeczka. Są »just« na 18 stopniu długości zachodniej. Na granicy, poza którą według wiary George'a nic się już złego zdarzyć nie może. 6700—6600—6.500—6400 — alarmuje wysokościomierz. George zjada ostatnią tabliczkę czekolady i wypija resztki kawy z termosy. Zapala papierosa i zaciągając się dymem postanawia, że do »dinghy« wsiadać nie będzie i że jeśli już ma ginąć, woli to zrobić »na sucho« w komfortie swej nawigacyjnej kabiny. 3000—2900—2800—2700. Boston unosi się statecznie po łagodnej krzywej, opadającej jednak niezmiennie ku czekającym tam w dole, poza zasłoną białych chmur, rozszalałym falom oceanu. Czyż te chmury wogóle nie mają kresu? Czy możliwą jest rzeczą, by kłębiaste chmury rozciągały na warstwę o grubości 20.000 stóp? Przecież nigdy i nigdzie nie wspomniano nawet o możliwości napotkania takiego zjawiska. 1200—1100—900. »No teraz zdobywam cenne doświadczenie co do grubości chmur kłębiastych cumulusów nad północnym Atlantykiem — czy tylko aby zdążyć się podzielić tym doświadczeniem?« myśli George, obserwując jak strzałka wysokościomierza oscyluje około cyfry 200 stóp. Termometr pnie się powoli w górę, wciąż jest jeszcze poniżej 0 stopni. W pewnej chwili gra motorów staje się pełniejsza, głośniejsza, czystsza. Jest to jedyna wskazówka, że samolot wyszedł z chmur. Okna kabiny wciąż pokrywają malowane przez lód kwiaty. Wskazówka wysokościomierza oscyluje około 1800 stóp.

W intercomm słychać spokojny głos Julka:

— Czy wiesz, gdzie jesteście?

— Według D. R. minęliśmy 18 południk zachodni, za godzinę powinniśmy słyszeć »range«. Czy coś widzisz, bo moja przecieraczka nie działa i mam oszronione szyby?

— Tak, moja działa. O. K. jesteście nad morzem, lecimy pod chmurami.

U celu.

Termometr pnie się powoli w górę. Już jest plus 5 stopni. Białe kwiaty przemieniają się w krople rosy, a te z kolei porywa pęd powietrza. Szyby odyskują swą przezroczystość, a George widzi w dole, głęboko w dole, jak przewalają się zielone grzywacze Atlantyku. Ogrzewacze stopiły nareszcie lód blokujący otwór rurki Pito. Strzałka szybko mierza skacze raptownie z zera na 220 mph.

Na horyzoncie, który jest zresztą ograniczony do kilku mil, zamajaczyła pierwsza wysepka, jedna z niezliczonych wysp rozrzuconych łańcuchem między Hebrydami a Irlandią. Widok ładu powoduje poczucie bezpieczeństwa. To nic, że wysepki są najczęściej

bezludnymi skałami, których wysokie skaliste brzegi wznoszące się na setki stóp ponad poziom morza nie nadają się nie tylko do lądowania, ale nawet rybackie kutry nie zawsze mogą przybić do omiatanych potężnymi przybojami brzegów. Nikt nie zastanawia się nad tym, ląd jest lądem, po przeleceniu tysięcy mil nad pustaciami oceanu nawet najdziksze skały wydają się krainą z bajki. Boston unosi się nad skalistymi wysepkami zachodnich wybrzeży, omijając co wyższe góry, gdyż pułap chmur jest wciąż ten sam t. j. około 700 stóp. Nie możemy lecieć prosto, bo niski pułap i niemożność korzystania z pomocy radia każe trzymać się brzegów i dojść do lotniska od morza, zamiast krótszą drogą po przez góry. Zbliża się powoli zmrok. Lecąc na wschód, tracimy cztery godziny dnia, trzeba więc dolecieć tuż przed zapadnięciem nocy. A niski, pułap każe omijać te niezliczone, najeżone górami wyspy. Głos Julka jest po raz pierwszy pozbawiony zwykłego spokoju.

INŻ. LEOPOLD TEMERSON

POSTĘPY TELEWIZJI

Opisane systemy aparatów dotyczą głównie przekazywania i otrzymywania fotografii, które muszą być wywoływane i kopiowane z kliszy. Dla celów policyjnych, wojskowych oraz dla abonentów radiowych jest wymagany odbiór — może nie tak wierny i czysty, jak na fotografii, ale zato szybki i nie wymagający żmudnych zabiegów związanych z wywołaniem kliszy. Ów szybki i bezpośredni odbiór umożliwia specjalny system, zwany »Faksimile«, który służy zasadniczo do przekazywania obrazów kontrastowych, t. j. złożonych z plam czarno-białych, a więc: szkiców, rysunków, tekstów drukowanych i t. p. Nie nadają się do przesyłania tym systemem zwykłe fotografie, lecz muszą być one przedtym przekształcone na obraz złożony z fragmentów ciemnych i jasnych, wyraźnie kontrastowych, a nie odcieni i półtonów, występujących w sposób ciągły jak na fotografii. To rozbitcie fotografii na pasma, lub punkty odbywa się na drodze elektrycznej. Oczywiście, że wspomniane szkice i rysunki, jako z natury rzeczy złożone z białoczarnych fragmentów, można przesyłać wprost bez owych wstępnych zabiegów.

Odbiór takich odbitek nie wymaga już czułych urządzeń świetlnych, jak przy fotografiach. Wystarczy urządzenie piszące, poruszane elektromagnetycznie, kreślące wprost na zwykłym papierze punkty i kreski w miarę nadchodzących impulsów prądu. Metoda ta znalazła już zastosowanie w obecnej wojnie do telegraficznego przekazywania planów, zdjęć, a nawet oryginalnych rozkazów i meldunków, co wyłącza wszelkie nieporozumienia, mogące wyniknąć przy łączności telefonicznej czy radiowej. Armia amerykańska stosuje obecnie owe nadajniki

— Słuchaj, znajdź jakiekolwiek lotnisko w zasięgu jednogodzinnego lotu.

— O. K. Skipper. Przed upływem dwudziestu minut będziemy nad lotniskiem docelowym.

George czuje się pewny, gdyż na horyzoncie zarysowała się już charakterystyczna sylwetka wyspy Dziewic, a w ostatnich blaskach zachodzącego słońca zajaśniały srebrzyste powłoki zaporowych balonów rozwieszonych nad P.

Boston okrąża przepisowym kołem lotnisko. Julek ląduje tak jakby lądował po pięciominutowym spacerze z uczniem, a nie po ośmiogodzinnym locie, z czego ponad cztery, prowadząc maszynę na przyrzady.

Wysiadamy z maszyny i z miejsca otaczają nas uśmiechnięte WAAF ki pomagając w wypakowaniu naszych gratów i pojąc tradycyjnym »cup of tea«.

Pierwsza polska załoga przeleciała Atlantyk północną trasą.

(»Wiadomości Polskie«).

(2)

na samolotach, które przesyłają zdjęcia terenu do dowództw, natychmiast po ich dokonaniu. Stosowany do tego celu papier-negatyw zostaje wywołany i utrwalony w ciągu jednej minuty.

Najbardziej przyjął się ów system przy przekazywaniu gazet i pism ilustrowanych, abonentem telefonicznym, lub radiowym. Odbiór tego rodzaju nie może się odbywać na zwykłym bębnie odbiorczym, lecz na rolce papieru, odwijającej się stopniowo w miarę nadchodzących sygnałów. Jeden z systemów amerykańskich, stosowany przy regularnej służbie prasowej dla radioabonentów, używa odbiornika, posiadającego trzy rylce piszące, które posuwają się kolejno wzdłuż papieru i kreślą punkty pod wpływem impulsów elektromagnetycznych. Na każdy centymetr wypada 24 linii, a więc w ciągu jednej minuty zostaje nakreślonych 130 takich linii. Rolka papieru ma ogółem 150 m. długości.

Nadajnik zbudowany jest podobnie jak przy aparatach, przesyłających zwykłe fotografie. System ten pozwala na otrzymywanie około 9000 słów na godzinę. Odbiornik włącza się automatycznie na noc, a rano abonent otrzymuje do śniadania gotowy wydrukowany arkusz gazety z najświeższymi wiadomościami, ilustracjami i ogłoszeniami.

System ten bywa również stosowany do przekazywania tekstów maszynopisu, przy czym przesyłanie »televizyjne« odbywa się niemal jednocześnie z powstawaniem tekstu. Do odtwarzania używa się nieraz zamiast rylców, ostro zakończzonego diamentu, lub chemicznie reagującego papieru, który pod wpływem chwilowego impulsu prądu zabarwia się w danym punkcie.

Mówiąc o aparaturze, służącej do przekazywania

na odległość obrazów, nie wspominaliśmy o samym »transporcie« sygnałów, zaznaczając jedynie, że może się on odbywać zarówno drogą drutową, jak i bezdrutową. Obecnie pomówimy o pewnych właściwościach transportu bezdrutowego, t. j. systemu »radiowego«.

»Radiografia obrazowa« poczyniła wielkie postępy podczas obecnej wojny, zwłaszcza w Ameryce, gdzie istnieje olbrzymia ilość stacyj radio-nadawczych o rozmaitych programach, które wymagają pewnych uzupełnień i objaśnień w postaci tekstów, wykresów, ilustracji i t. p. Wydawanie pism radiowych, spełniających ową rolę, jest dla takiej ilości stacji niemal niemożliwe. W Europie natomiast radiosłuchacz łatwiej się może zorientować w programach swoich, naogół nielicznych stacyj nadawczych, abonując jakieś pismo, odnoszące się do programów kilku, najczęściej słuchanych radiostacji. Jak wielkie usługi oddaje »radiografia obrazkowa« radiosłuchaczom, świadczą następujące przykłady obecnego jej zastosowania: tabele kursów giełdowych, z wykresami, mapy meteorologiczne z prognozami pogody, teksty rozporządzeń władz, programy audycji z podobiznami występujących artystów i kompozytorów, sceny z nadawanych sztuk dramatycznych, nuty utworów muzycznych, teksty piosenek, libretta oper i operetek, krajobrazy, ilustrujące wygłaszane odczyty krajoznawcze, i podręczniki, recepty dla kuchni ze zdjęciami gotowych potraw, żurnale mód, ilustracje do bajek dla dzieci, teksty i rysunki dla kursów języków obcych. Pomińmy opisaną gazetę radiową, »nakręcaną« w ciągu nocy samoczynnie.

Stany Zjednoczone A. P. ujęły w pewne przepisy nadawanie programów telewizyjnych, a mianowicie:

1. System »Faksimile« na falach średnich może być używany tylko w nocy pomiędzy godz. 0.00. a 6 rano, aby nie przeszkadzać audycjom normalnym. Służy do odbioru gazet, pewnych ilustracji i t. p. Zasięg jego jest duży zasięg.

2. System »Faksimile« na krótkich falach jako uzupełnienie poprzedniego — nie jest ograniczony w czasie. Zasięg znacznie mniejszy. Służy do przekazywania tabel, lub wykresów przy programie akustycznym, jako uzupełnienie audycji odczytowej, lub komunikatów.

3. Jednoczesne przekazywanie obrazów i dźwięku na falach ultrakrótkich. Jest to obecnie najbardziej rozpowszechniony system, a ilość stacji tego typu stale wzrasta. Zasięg stacji ultra-krótkofalowych jest niewielki: nie przekracza 150 km. Wzajemne przeszkadzanie sobie stacji może więc nastąpić tylko w tym promieniu działania, wobec czego ograniczenia co do wyboru fal dotyczyć mogą jedynie owych stacji. Wszelkie stacje, znajdujące się poza tymi 150 km. mogą oczywiście znów korzystać z tego samego zakresu fal, nie przeszkadzając innym okółom. Do dyspozycji stoi 35 t. zw. »kanałów« falowych, t. j. tyleż stacji można zbudować na danym

terenie o promieniu 150 km. bez obawy zakłócenia audycji normalnych.

Mówiąc o rozmaitych zastosowaniach telegrafii obrazowej, należy jeszcze wspomnieć o możliwości odciążenia i wyręczenia poczty w jej funkcjach. Zamiast bowiem przysyłać zwykłą drogą listy, dokumenty, czeki i t. p. — można przekazać dokładną kopię »telewizyjnie«, co przy odpowiedniej liczbie aparatów nadawczych umożliwi przesłanie korespondencji szybciej niż czyni to nawet poczta lotnicza. Korzyści z przekazywania druków na odległość ujawniły się dla prasy w ten sposób, że wielkie dzienniki w New-Yorku, Chicago i t. d. przekazują do odległych miast prowincjonalnych treść gazety drogą telewizyjną natychmiast po wyjściu spod prasy pierwszego egzemplarza. Redakcja prowincjonalna owej gazety przekazuje drukarni otrzymany numer do składania, przygotowuje klisze do ilustracji oraz reklamy i wydaje gazetę do kolportażu o kilka godzin wcześniej, niż mogłaby to uczynić przy użyciu poczty lotniczej.

Przekazywanie na odległość scen ruchomych (Właściwa telewizja)

Trudność postępowania polega na uchwyceniu licznych, szybko po sobie następujących ruchów i odtworzenie ich na ekranie odbiorczym w sposób ciągły, możliwie wiernie odpowiadający nagrywanym scenom. Wykorzystuje się w tym celu bezwładność oka ludzkiego, które już przy 25 obrazach przesuwanych w ciągu 1 sekundy, nie jest w stanie nadążyć za tymi szybkimi zmianami i otrzymuje złudzenie ciągłości ruchu. Ta własność oka jest już wykorzystana w kinie, gdzie poszczególne zdjęcia cząstkowe zlewają się przy projekcji na ekran w jednolity ruch ciągły. Istnieje jednak zasadnicza różnica między projekcją kinową, a telewizyjną: w kinie po każdej 1/25 części sekundy następuje nowy obraz w wypadku zaś telewizji w ciągu tego samego czasu każdy obraz, t. j. fragment ruchu, musi być rozłożony na poszczególne punkty jaśniejsze i ciemniejsze, podobnie jak podczas przekazywania obrazów nieruchomych na odległość. Na »wychwycenie« wszystkich owych punktów aparat ma czas zaledwie 1/25 cz. sekundy, gdyż po upływie tego czasu musi chwytać ponownie te same punkty, ale już w innym położeniu przedmiotu. A jest tych punktów przy wielkości obrazu 18 na 24 cm. około 40.000! (czterdzieści tysięcy) jeśli przyjmiemy powierzchnię promienia »wychwytowego« = 1 mm². W ciągu zatem 1 sekundy należy uchwycić i przetransportować 25 razy 40.000 = 1 milion punktów przedmiotu ruchomego, aby otrzymać możliwie poprawny obraz w odborniku telewizyjnym. Milion razy na sekundę odbywają się więc zmiany naświetlenia fotokomórki, która tyleż różnych impulsów prądu wysyła w przestrzeń, »modulując«, czyli wykrzywając odpowiednią »falę nośną«, pracującą stale między stacjami nadawczą i odbiorczą. Wobec ogromnej częstotliwości tych zmian

przenoszenie obrazów ruchomych odbywa się wyłącznie na falach ultrakrótkich, około 5 m. (6000 kilocykli), co jak wiadomo ogranicza zasięg odbioru do pewnych niewielkich promieni rzędu 100 km. (Stosowanie fal średnich »wymodulowałoby« niemal cały zakres fal używanych w radiofonii, uniemożliwiając odbiór akustyczny!) Pewne zwiększenie zasięgu otrzymujemy przez umieszczenie anteny nadawczej na znacznej wysokości. Obecność w okolicy wysokich gór i innych wysokich obiektów stanowi dużą przeszkodę w odbiorze wskutek uginania się na nich fal ultrakrótkich.

»Wychwytywanie« scen ruchomych odbywa się w sposób odmienny nieco, niż przy transmisji fotografii czy rysunków. Odpada oczywiście bęben ruchomy, natomiast oświetla się scenę silnym reflektorem, którego światło, odbite od przedmiotów stałych i ruchomych, skupione przez soczewkę, trafia na szybko obracającą się tarczę zaopatrzoną w liczne otwory umieszczone spiralnie na jej powierzchni.

W ten sposób przy obrocie tarczy wszystkie punkty oświetlonych przedmiotów zostają »wychwycone«, odpowiednio do składowego położenia danego otworu tarczy wobec skoncentrowanego promienia, idącego od owego punktu. Promień ten po przejściu otworu w tarczy dostaje się do fotokomórki, dając odpowiedni impuls prądu, przesyłany z kolei do stacji odbiorczej.

Nowsze urządzenia stosują do »wychwytywania« punktów obrazu specjalną lampę oscylacyjną, gdzie strumień elektronów, wprawiony w ruch urządzeniem elektrycznym, porusza się wzdłuż i w poprzek obrazu ruchomego, zastępując opisaną poprzednio obracającą się tarczę. Przesuwanie to odbywa się z olbrzymią szybkością, przy czym skupiony strumień elektronów odbija się od przedmiotów podobnie jak światło, dostaje się do fotokomórek, działając na nie tak samo jak promienie świetlne, moduluje falę nośną i przenosi wiernie obrazy do przeznaczonego celu.

Odbiór obrazów odbywa się również przy pomocy analogicznej lampy oscylacyjnej: nadchodzące impulsy wywołują odpowiednie zmiany natężenia strumienia elektronów, który znaczy na ekranie punkty o rozmaitej jasności. Właściwe miejsce punktów na ekranie zapewnia urządzenie przesuwające strumień elektronów wzdłuż i w poprzek ekranu, podobnie jak to czyni strumień na stacji nadawczej. Ruchy obu strumieni muszą być oczywiście ściśle ze sobą zsynchronizowane automatycznie, do czego służą właściwe urządzenia.

Postępy telewizji w ostatnich latach są tak wielkie, że przekazywane obrazy w niczym nie ustępują pod względem jasności i ostrości obrazom na ekranie kinowym. Oglądanie więc przedstawień teatralnych, lub kinowych w domu oraz słuchanie koncertów z jednoczesnym obserwowaniem orkiestry, dyrygenta czy solistów stało się obecnie faktem realnym i dostępnym dla każdego posiadacza odbiornika telewizyjnego. Odbiornik ten w połączeniu z aparatem radiowym akustycznym staje się coraz bardziej

popularnym — narazie w Ameryce. — i należy przewidywać, że po wojnie obecnej również i europejscy radioabonentci nie pozostaną pod tym względem w tyle.

Sprawy szwedzkie

Gazety podają sprawozdanie Międzynarodowego Biura Pracy które w jednym z ostatnich numerów swego wydawnictwa zaznają, że szwedzką polityką społeczną, która jak wiadomo doznała zasadniczych przemian w latach poprzedzających wybuch obecnej wojny światowej. Jeśli chodzi o wydatki państwowe przeznaczone na akcję natury społecznej, to wyniosły one w roku 1932/33. sumę 45 milionów koron, gdy tymczasem w roku 1938/39 wzrosły do 147 milionów. W tym samym okresie rząd podniósł zaopatrzenia starców, zapewnił świadczenia wdowom i sierotom oraz wprowadził ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Wreszcie wydał szereg ważnych zarządzeń zmierzających do zlikwidowania głodu mieszkaniowego. W roku 1937 parlament ustanowił społeczną komisję planowania. Komisja ta pracuje obecnie nad uproszczeniem systemu państwowej opieki społecznej.

W ostatnich latach akcja rządu zmierzająca do poprawy położenia klasy pracującej, uległa pewnemu zahamowaniu. Powodem tego są trudności jakich doznała Szwecja w zakresie handlu z zagranicą. Z tej przyczyny od roku 1942 trzeba było również wprowadzić ograniczenia w spożycia pewnych artykułów. Mleko i kartofle można jednak otrzymywać bez ograniczeń, dla dzieci zaś i starców wydano kartki, uprawniające do nabycia mleka po cenach niższych. Niektóre zawody mogą nabywać tłuszcz po cenie ulgowej. Zniżka na mleko i tłuszcz wynosi 48%.

W dwóch dziedzinach zwłaszcza rząd stara się utrzymać dawny poziom polityki społecznej: w zakresie ochrony praw robotniczych i ubezpieczeń społecznych. Wpływ wojny mógłby wprowadzić spowolnienie zmian polityki na tym odcinku (zwłaszcza jeśli chodzi o czas pracy czy też płace) jednak w praktyce rząd szwedzki rzadko korzystał ze swoich uprawnień. Co się zaś tyczy ubezpieczeń, to wprowadzono ostatnio dodatek drożyzniowy i podniesiono renty od wypadków.

Wielkim krokiem naprzód w dziedzinie polityki społecznej było w roku 1940 zreformowanie prawa o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia.

Celem zarządzenia brakowi mieszkań, powzięto następujące zarządzenia: w roku 1940 ustanowiono komisję studiów, zadaniem której była praca nad zmniejszeniem kosztów budowy. W styczniu roku 1942 komisja przedstawiła szereg wniosków w zakresie zmniejszenia cen sprzedaży działek budowlanych, uproszczenia i racjonalizacji planów budowy oraz surowej kontroli nad zyskami przedsiębiorców. Na podstawie tych projektów w roku 1941 parlament uchwalił 60 milionów koron z przeznaczeniem na zapomogi na budowę domów w roku budżetowym 1941/42. Dzięki tej pomocy w roku 1941 wybudowano 20 tysięcy nowych

domów. W roku 1942 przywrócono przedwojenne czynszów komornianych.

Dane powyższe wskazują, że szwedzka polityka społeczna pomyślnie się rozwija mimo wpływu wojny.

Jak donosi M. T. I. premier Szwecji Per Albin Hansson odbył rozmowy z przedstawicielem fińskiego dziennika »Helsinki Sanomat«. Szwedzki premier zajmował się zagadnieniem koalicji rządowej w związku z zamierzeniami szwedzkiej pomocy powojennej państw obcych a zwłaszcza dla Finlandii. Premier Hansson, wyraził osobiste przekonanie, że dalsze ustosunkowanie się koalicji rządowej do tych spraw jest jak najbardziej przychylnie, jakkolwiek poglądy niektórych partii szwedzkich w tej materii są inne. Premier motywując swoje twierdzenie, dodał że szwedzcy socjaldemokraci prawdopodobnie po wojnie również utrzymają swoją pozycję w rządzie, jako większość, albo przynajmniej jako najsilniejsza partia. Inaczej mówiąc na wypadek rozwiązania koalicji bądź sami zadecydują o składzie rządu bądź też wspólnie z innymi partiami. Po rozwiązaniu spraw: formy rządów, obrony narodowej, dobrobytu i innych zasadniczych sprzeczności w łonie rządu niema. Według poglądów Hanssona, nie należy się spodziewać powrotu do klasycznego systemu parlamentarnego (na zasadzie większości i opozycji), gdyż z wyżej przytoczonych powodów nie ma widoków na to, iżby opozycja mogła większość uzyskać. Celem niesienia pomocy powojennej dla innych państw, rząd zarezerwował 100 milionów koron, przy czym pomoc ta objęłaby nie tylko państwa północne. W związku z tym premier dodał, że obecnie organizuje się instytucje, którym rząd powierzy wykorzystanie sum asygnowanych na cele pomocy. Sama pomoc opierać się będzie nie na zasadzie darów, lecz przyjmie formę dostaw towarowych.

Wrażenia niemieckiego żołnierza w Paryżu

Jeden z żołnierzy, niemieckich, którzy w drodze na któryś z frontów muszą przejeżdżać przez nadsekańską stolicę, opowiada o swoich przygodach w Paryżu w »Essener National Zeitung«:

Zaczął się od tego, że wyruszyłem zaopatrzyć w kartę uprawniającą do nabycia pary jedwabnych pończoch, które miały być prezentem imicininowym. We wszystkich sklepach, gdzie pokazałem swój »bon«, natrafiałem na wysoce zdziwione twarze subiektów. I wszędzie oświadczano mi, że jedwabnych pończoch jest od dawna całkowity brak. Znużony, po trzynastym z kolei odwiedzinym przez siebie sklepie, udałem się do pobliskiej kawiarni żeby się nieco orzeźwić. Kelner w niezwykle wytworny sposób obsłużył mnie, podając szklaneczkę »czarnej« i w osobnej flaszcze roztwór sacharyny.

Z wrodzonego wstrętu do podobnych namiastek odsunąłem sacharynę na bok. »Garson« zapytał mnie, czy wolałbym cukier, co było, zresztą, moim utajonym pragnieniem. Następnie, z pewną uroczystą ceremonialnością wyciągnął z kieszeni kawalek prawdziwego cukru. Z

zadowoleniem wypilem słodką kawę i zamówiłem jeszcze jedną. Tym razem flaszka z sacharynowym roztworem nie ukazała się w ogóle, a »garson« podał mi odrazu cukier. Sprawa wcale nie była tak droga: za sztukę liczył mi 2 i pół franka, co u mnie wyniosło 12 i pół feniga.

Po dokonaniu takiej drobnej »czarno rynkowej« transakcji, wróciłem do swego hotelu. Tu, przebiegającej pokojówce zwierzyłem się ze swego zmartwienia w sprawie pończoch. Uprzejmie uśmiechnięta, zagadnęła mnie, w jaki sposób wpadłem na pomysł kupowania narkartę. Mógłbym bowiem przebiec cały Paryż i tym sposobem absolutnie nie dostał upragnionego towaru. Ale z czarnego rynku ona sama mogłaby mi dostarczyć pończochy, czysty jedwab — zaledwie za 11 marek. Przyjąłem, oczywiście propozycję i po godzinie mniej więcej byłem posiadaczem delikatnie tkanych, wspaniałych jedwabnych pończoch. Byłem uszczęśliwiony. Dalej, wyruszyłem na następną przygodę. Tym razem, do krawca, gdyż miałem przy sobie kartę na materiał ubraniowy wraz z dodatkami. Dostawszy się do salonu, gdzie krawiec zwykł był przyjmować swoich klientów, szybko wybrałem odpowiadający mi materiał. Za to jednak cena doprowadziła mnie do zupełnej rozpaczy: krawiec żądał za swój towar 400 marek. Gdy nadszedł szef firmy, wyłożyłem mu, że posiadając kartę nie chcę w żadnym wypadku kupować »na czarno«, na co tamten z miłym uśmiechem rozpoczął z kolei wykład: Otóż »na czarno« każdy punkt ubraniowy kosztuje 10 fr. Ponieważ moja karta opiewa na 50 punktów, wynika stąd, że musiałbym zapłacić 800 fr., co się równa 25 kartom, którą to sumę jest mi uprzejmie kupiec gotów odtrącić z podanej przez siebie ceny. Ze złością ścisnąwszy *bon* w ręce, zawołałem: »Po cóż, u diabła w ogóle istnieją karty we Francji!?« »Jest to kwestia, która i nas zajmuje, monsieur«, odrzekł z przymilnym uśmiechem kupiec. — »ale — to przecież wojna!«.

Gdy się wybierałem na kolację, spotkałem znajomego. »Dokąd idziesz na kolację?« spytał mnie ten. »Tu a tu« — odrzekłem, zapraszając go jednocześnie ze sobą. Ale mój rozmówca spojrzał na mnie uważnie i potrząsnął głową: Czy naprawdę jestem już na tyle zwariowany, żeby wyrzucić moje »bony« na wiatr, gdy mógłbym mieć w lokalu »Chez Suzanne« dosłownie *wszystko* bez kartek? Zawstydzony poszedłem za nim. Rzeczywiście dano na m. wszystko; pieczeń usmażoną na maśle, *pommes frites* smażone na oliwie, jajecznicę, homar w majonezie i temu podobne wspaniałości. Rachunek łącznie z winem wyniósł po 35 marek na twarz. Przy najprawdziwszej, czarnej mokce opowiedziałem memu towarzyszkowi moją niedolę z ubraniem. Na to nastąpił głośny wybuch śmiechu i oświadczenie, że tak, jak zapłaciłem zbyt drogo pończochy tak też głupio zachowałem się wobec krawca. Przygnębiony wróciłem do hotelu. Portier zapytał mnie współczująco co mi jest i zaproponował imbryk — oczywiście najprawdziwszej cejlońskiej herbaty. Ponadto właśnie w tej chwili otrzymał on przesyłkę wspaniałych cygar Virginia.

Cóż, czy miałem odmówić sobie nowej okazji wyzyskania »czarnego rynku?« Rozkoszowałem się wonną herbatą i upajającym dymem cygar. W międzyczasie

przeżył artykuł «Petit Parisien» o konieczności walki z czarnym rynkiem.

Ten gładki artykuł miał za zadanie rzucić zasadniczy snop światła na problem czarnego rynku we Francji. Większość Francuzów posiadających to i owo w ogóle nie martwi się zupełnie polityką wydziałania racji przez państwo. Walka rządu z «czarnym rynkiem» jest walką z wiatrakami, tak długo, póki nie skieruje się przeciwko korzeniom tego zjawiska. »Wątpimy, czy w czasie najbliższym jest to osiągalne«.

Z historii spadochronu

Wspaniałe i częstokroć decydujące sukcesy oddziałów spadochronowych, walczących na różnych odcinkach frontu oraz komunikaty państw wojujących, donoszące coraz częściej o ocaleniu lotników przy pomocy spadochronów, świadczą najdobitniej o wysokiej wartości obecnie używanych spadochronów. Pod względem technicznym udoskonalono bowiem dzisiejsze systemy spadochronów do tego stopnia, iż zapewniają one lotnikowi maksimum bezpieczeństwa.

W miarę rozwoju lotnictwa i równoległe do budowy coraz to nowocześniejszych aparatów ssamolotowych dokonywało się również i ulepszenie sprzętu spadochronowego. Z wysiłkami zdążającymi do opanowania przestworza, zyskały bowiem na ważności i starania w kierunku uzyskania odpowiednio pewnych środków, zabezpieczających personel latający w wypadku katastrofy samolotowej.

Nie należy jednak zapominać, że spadochron jest wcześniejszym wynalazkiem i że może on uchodzić poniekąd za zwiastuna później skonstruowanego samolotu. Wiemy że prototyp dzisiejszego spadochronu był używany już 400 lat temu przez różnych kuglarzy jako środek ułatwiający im wykonanie karłowatych skoków.

Już Leonardo da Vinci w pierwszych latach 16-go wieku rozważał teoretycznie zagadnienie spadochronu. W księdze traktującej o maszynach i t. p. sprzętach, wydanej w 1617 r. w Wenecji znajdujemy szkic spadochronu. Z dołączonego do tego rysunku szczegółowego opisu dowiadujemy się, że przy pomocy takiego spadochronu może człowiek dokonać skoku z wieży lub innej wysokości bez narażenia się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Wysłannicy Francji, którzy przybyli do królestwa sjamskiego z końcem 17-go wieku, spotkali tam pewnego kuglarza, który z przytroczonymi do pasa dwoma potężnymi azjatyckimi parasolami dokonywał skoków ze znacznych wysokości. Opadał on niekiedy wprost na ziemię, czasem na drzewo, dom względnie rzekę, nie ponosząc przy tym poważniejszych obrażeń cielesnych. Lądowanie jego uzależnione było naturalnie od każdorazowego kierunku i siły wiatru.

W podobny sposób, przy pomocy parasola zeskoczył z okna wysokiego domu również i Francuz Leonard. Skok ten był uwieńczony tylko przypadkowo powodzeniem.

Pierwszej właściwej próby użycia spadochronu dokonał pionier lotnictwa Francuz, Blanchard w 1783 r. Wzbiwszy się przy pomocy balonu w przestworze, zrzucił on z wysokości około 2000 metrów swojego psa przytroczonego do spadochronu. Z początku wicher

miotał psem między chmurami, poczym pies zbliżył się ponownie ku balonowi i w końcu wylądował na ziemi. Lądowanie to udało się tylko przypadkowo, o stosowaniu bowiem jakiegokolwiek systemu w owym czasie nie może być mowy.

W piętnaście lat później Jacques Garnerin zaryzykował osobiście próbę opuszczenia się na ziemię przy pomocy spadochronu. Wydarzenie to opisał astronom Lalande w sposób następujący:

»22. października 1797 r. wzbił się obywatel Garnerin w przestworze na wolnym (nie krępowanym) balonie «à ballon perdu» w parku Monceau. Wśród «gromadzonych widzów zapanowała cisza grobowa. Po osiągnięciu przez Garnerina wysokości około 3400 metrów, odciął on linkę, łączącą jego gondolę uzbrojoną w spadochron z balonem. Wkrótce nastąpiła eksplozja balonu a prawie jednocześnie, spadochron w którym znajdował się Garnerin spadł z wielką szybkością. W czasie opadania ulegał on tak gwałtownym wahaniom, że zgromadzony tłum, obserwujący ten niezwykle wyczyn sportowca wydał okrzyk przerażenia a słabsze kobiety doznały nawet urazu nerwowego. W międzyczasie obywatel Garnerin wylądował szczęśliwie w dolinie Monceau. Dosiadłszy konia wrócił on do parku, gdzie rozentuzjzmowany tłum powitał go jako bohatera, okazując podziw dla talentu i odwagi młodego pioniera lotnictwa. Garnerin może przeto śmiało uchodzić za praojca dzisiejszych wojsk spadochronowych. On bowiem był tym człowiekiem, który jako pierwszy odważył się przebyć tę na owe czasy tak niebezpieczną podróż. Nie mniej głośnym był również śmiertelny skok lotnika Reichelta dokonany z wieży Eifla w Paryżu.

Późniejszy wynalazek Francuza Hervieu udoskonalił dotychczas nie zawsze sprawnie działający mechanizm spadochronu w tym kierunku, że umieścił on w jego wnętrzu odpowiednią ilość sprężyn, które przy spadzie powodowały automatyczne rozwinięcie się spadochronu. Uniezależnił on w ten sposób sprawność mechanizmu od niezbędnego do tej pory wpływu prądu powietrza od dołu. Lotnik Hervieu dokonał około czterdziestu szczęśliwych skoków tym swoim ulepszonym spadochronem, zwiększając każdorazowo długość skoku.

Niezależnie od prób Hervieu czynił również takie same starania Niemiec Schmittner, który wpadł na podobny pomysł, projektując nowy typ spadochronu o średnicy 4 m 50 cm uruchomiany przez dwa i pół metra długie sprężyny (Spiral-Federn).

Wynalazcy Rayoux i Col dokonywali licznych prób uruchomienia spadochronów sprężonym powietrzem, baron Odkolek usiłował spowodować otwarcie się spadochronu przy pomocy eksplozji prochu strzelniczego. Doświadczenia powyższe zarzucono jednak wkrótce, gdyż wynalazki te okazały się w użyciu niepraktycznymi.

W międzyczasie prace techników w kierunku usprawnienia spadochronów poczyniły tak wielkie postępy iż mówi się dzisiaj o nie zawodnym działaniu mechanizmów obecnie używanych systemów spadochronowych. Narażenie przeto lotnika na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z powodu nie otwarcia się spadochronu wydaje się w obecnych warunkach prawie że wyłączone.

RUDOLF MADEJ

WYNAŁAZCZOŚĆ

Najwspanialszym przejawem ducha ludzkiego są nowe idee, odkrycia i wynalazki. Umysł ludzki, obdarzony «iskrą bożą», jest niewyczerpanym źródłem sił twórczych człowieka. On to jest wykładnikiem niewidzialnych sił i wartości, jakie tkwią w człowieku, wykładnikiem sił ducha. W swej ziemskiej wędrówce ku nieznaney przyszłości człowiek żyje pod znakiem ciągłej ewolucji. Od zarania swych dziejów umysł jego rozwija się, tworząc coraz to inne wartości i coraz to inne dobra. Wraz z człowiekiem zrodziły się jego potrzeby, które stały się impulsem do wynajdywania środków i sposobów do ich zaspakajania. I tak — «potrzeba stała się matką wynalazków». Wynalazki zaczęły stopniowo przeobrażać życie człowieka na ziemi, nowe pomysły rzucały podwaliny pod nowe epoki cywilizacyjne. Wynalazczość, rozpoczynając swój pochod od najstarszych epok bytu ludzkiego i od najbardziej prymitywnych początków, z czasem nie tylko zataczała coraz to szersze kręgi, ale zaczęła potęgnać. Gdy dziś, w epoce cywilizacyjnie mocno zaawansowanej, patrzymy na ogromne bogactwo twórców ducha ludzkiego, to przede wszystkim musimy sobie z tego zdać sprawę, że to wszystko musiało być — wynalezione. Musimy to sobie uzmysłowić, że człowiek swój byt ziemski zaczynał od niczego, że nagością była jego ubiorem, ziemia — mieszkaniem, a niebo — dachem i że w nieznaney mu przyrodzie musiał szukać dla siebie pożywienia. Od epoki kamiennej zaczynając, w której wynalazczość ludzka używała głównie kamienia do wyrobu najbardziej prymitywnych narzędzi i broni, używanych w walce o byt, poprzez następne, jak brązowa i żelazna, wchodzi człowiek na coraz to szerszą arenę świata, coraz to lepiej na nim się urządzać, robiąc odkrycia i tworząc coraz to liczniejsze wynalazki.

Znaczenie wynalazku zależne jest od roli, jaką on odgrywa w życiu człowieka. Są więc wynalazki małe i duże i wynalazki o tak wielkiej doniosłości, że noszą miano epokowych. Odkrycie zbóż w zamierzchłej starożytności, jak pszenica, żyto i inne, które dały człowiekowi podstawowe pożywienie i wynalezienie pluga w odległej epoce brązowej, a następnie i brony, które położyły podwaliny pod przyszłe rolnictwo, to wielkie wydarzenia w dziejach ludzkości. Poprzez znajomość przedzenia i tkania otwiera się przed człowiekiem po wynalezieniu warsztatu tkackiego (parę tysięcy lat przed Chr.) wielka dziedzina wytwórczości dostarczająca ludzkości tak bardzo potrzebnych różnorodnych tkanin, wytwarzanych z różnych materiałów jak len, konopie, jedwab, wełna i bawełna. Wynalazek pisma, sięgający w daleką starożytność, był jednym z najcenniejszych twórców umysłu ludzkiego, bo dał szerokie podstawy do duchowego rozwoju człowieka. Krążek garncarski, znany w Egipcie już 5.000 lat przed Chr., to najbardziej prymitywna pierwsza maszyna. Ale czyż sposób wymieniać te bardzo liczne i doniosłe wynalazki i odkrycia, które stopniowo przeobrażały życie człowieka na ziemi? Mniej

lub więcej znamy je przecież, na każdym kroku korzystając z ich dobrodziejstw.

Wiemy, że bardzo urodzajne pod względem wynalazków były czasy najnowsze, a zwłaszcza wiek XIX. i XX. Jednakże musimy przyznać, że wiele podstawowych odkryć i wynalazków sięga w odległe, nawet zamierzchłe czasy, torując drogę dalszemu rozwojowi ludzkości. Chiny, Indie i Egipt — to najstarsze kolebki cywilizacyjne rodu ludzkiego.

Wynalazczość jest dźwignią postępu. Każdy wynalazek — to nowy pomysł, względnie godne uwagi ulepszenie, a więc jakaś nowa oryginalna idea, w wielkim dziele wytwórczości. Celem ochrony wynalazków, jako cennych pomysłów dla życia gospodarczego, zostało wprowadzone prawo patentowe, które ustanawiając urząd patentowy, daje możność patentowania wynalazków, a więc zabezpieczenia sobie przez wynalazcę prawnej ochrony istoty pomysłu, ujętej w zastrzeżeniach patentowych, na pewien czas ustawą określony.

Różne jest podłoże i geneza wynalazków. Gdy jedno z nich są tworamiz żmudnych dociekań, prób i badań, to inne znów rodzą się łatwo, jakby od niechcenia, drogą jakiegoś szczególnego zbiegu okoliczności, czy przypadku. Niewyczerpanym źródłem i natchnieniem do nowych pomysłów jest sama przyroda, z jej bardzo różnorodnymi zjawiskami. Obserwacja tych zjawisk jest punktem wyjścia wielu cennych wynalazków.

Wynalazczość nie jest domeną ludzi uprzywilejowanych, lecz ma charakter jak najbardziej powszechny, gdyż w tej twórczości mogą brać udział wszyscy, którzy są obdarzeni cennym zmysłem wynalazczym. To też wynalazcami są, względnie mogą być, ludzie różnych sfer i zawodów i różnych poziomów intelektualnych, a więc inżynier i robotnik, naukowiec i szary człowiek z tłumy. Każdy wynalazek, jako nowa wartość w ogólnym zespole dóbr ludzkich, bo na tej nowości polega istota wynalazku, oddaje w ręce jego twórcy i właściciela te wszelkie korzyści jakie mogą wypływać z jego zastosowania. Ale poza tą korzyścią indywidualną wchodzi w grę druga, bardziej cenna, bo mająca charakter społeczny. I w tym tkwi duża wartość wynalazku dla każdego kraju i narodu. Im więcej jakiś naród tworzy wynalazków i im one są cenniejsze, tym bardziej wyprzedza inne, zdobywając sobie mocniejszą pozycję wobec innych. To jest chyba oczywiste. Wynalazek np. nowej, czy choćby ulepszonej broni daje danemu narodowi przewagę techniczną nad swym przeciwnikiem. Wynaleziony jakiś produkt użyteczności ogólnej rozszerza wytwórczość, stwarzając nową gałąź przemysłu i powiększając rynek pracy. Każde znowu ulepszenie i usprawnienie wytwórczości zmniejsza koszty produkcyjne, dając wynalazcy przewagę w walce konkurencyjnej tak na rynku wewnętrznym, jak i zagranicznym. Wiemy np. że niektóre sposoby fabrykacyjne, czy same produkty, są bezkonkurencyjne, bo strzeże je czy to patent, czy też tajemnica fabrykacyjna. A to wszystko prowadzi do rozbudowy i doskonalenia się własnej wytwórczości, ożywienia życia gospodarczego i wzrostu dobrobytu.

W zrozumieniu tych wielorakich korzyści, jakie niesie z sobą wynalazczość, rozbudują społeczeństwa żyłkę

wynalazczą, popierając i organizując twórczą działalność. Temu celowi służą różnorakie laboratoria i instytucje badawcze tak prywatne jak i państwowe. Temu celowi służy odpowiednia propaganda.

Wojna sprzyja wynalazczości, bo w gorączkowym tempie pracuje się nad różnego rodzaju wynalazkami i ulepszeniami, mającymi znaczenie tak militarne, jak i gospodarcze. To też wynikiem tych prób i badań są coraz to lepsze typy samolotów, czołgów, dział, bomb itd., a każda ze stron grozi drugiej jakoby »już wynalezioną« nową rewelacyjną bronią.

Dziś, kiedy mowa o odbudowie naszego życia państwowego na wszystkich jego polach po obecnej wojnie, a w szczególności życia gospodarczego, na czoło wysuwa się czynnik twórczy, który ma być kośćcem tej wielkiej akcji, tak w planowaniu, jak i realizacji. Potrzeba rozbudowy, doskonalenia i usprawnienia własnej wytwórczości będzie wymagać badań i pobudzania aktywności i wynalazczości. I tu będzie wdzięczne pole do działania dla ludzi wł. ściwych, a więc fachowców i dobrych organizatorów, dla ludzi przedsiębiorczych i dla naszej rodzimej twórczości i wynalazczości.

STEM.

Kuchenny felieton

*Niechże ciebie rymem wstawię
Knajpę! Gdzie przy czarnej kawie
Drogi czas na niczem trawię!*

Tak napisał ongiś poeta Rydel na ścianie jednej kawiarni w Krakowie. Ja zamierzam dziś wstawić w felietonie nie knajpę, lecz instytucję mającą tyle powinowactwa do knajpy, co prawdziwa kawa, do kawy Kreippa — a więc naszą jadłodajnię.

Bywalcy zebrań stołowników wiedzą, że nasza jadłodajnia jest instytucją pochodną naszego kasyna i że ma własny statut, którym się rządzi, jak szara gęś.

Na czele naszej stołowni stoi Bolcio, mąż luby, choć gru'by. Starą on się o produkty, kupuje, borguje, fasuje i wogóle »frasuje się wiewa«. Dobrze mu tak, skoro jest prezesem zarządu.

W kuchni berło trzyma w swych rączkach pani Irmiona. I miesza nim z wdziękiem w przepastnych kotłach naszej stołowni. Podejrzewam, że do potraw dodaje swego osobistego charme'u — bo od czasu kiedy stanęła na czele naszej kuchni umilkły utyskiwania i narzekania. A dawniej było inaczej! Dawniej niestety w naszej kuchni, często gotowało się na kwasach domowych. Dawniej wisiała nawet na gwoździu »księga zażaleń«, do której stołownicy wpisywali swoje skargi i żale, ale gdy zamiast odpowiedzi zaczęli od zarządu otrzymywać wskazówki, jak należy pisać zażalenia, gdy książka zażaleń zamieniła się w poradnik stylistyczny, wybraliśmy inny zarząd i poradnik zawieszono na innym gwoździu. Dawniej było gorzej! Pamiętam, takie zebranie

stołowników, które w naszym teatrze obozowym mogłoby uchodzić za studium sceniczne »Powrotu taty« Mickiewicza.

*Pieniądzy! woła i bulawą sięga,
Ow z mieczem wpada na służę!*

Na zebraniu wołano o pieniądze, a pieniądze nie było. Pytano się, co się stało z wędliną i dowiedziano się, że zrobiono z nią to, co wypada tylko robić z wędliną t. j. zwędzono ją.

Dziś jak wspominałem jest inaczej.

Dziś w kuchni jest porządek. Nie ma protekcji... przepraszam jest jeszcze protekcja. Panna Marysia wyraźnie faworyzuje dwóch ulubieńców. Jeden z nich to przystojny brunet, pono najbardziej opalony osobnik w obozie, drugi wyróżnia się najpiękniejszą trwałą kędzierzawą ondulacją. Obaj siedzą sobie w chlewiku, zjadają przysmaki przyrządzone rączkami pań, popijają pomyjami i czekają z nieświadomością na moment, kiedy się zamienią w smakowite kiełbasy i kiszki.

A teraz — jak jadamy? Jak na wojnę i na wojnie zupełnie dobrze. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że minęły dawne dobre czasy, kiedy to się jadało rękami kiełbasy. Są wprawdzie paniusie kokietujące bliźnich opowiadaniem o swym wykwintnym życiu w czasach przedwojennych (jakiego napewno nie prowadziły) i te wylewają obłudne żale, czego one to nie muszą jeść. Nad najlepszą leguminą tak długo głową trzęsą, aż w niej włos znajdą. Ogół jednak chwali smaczne i zdrowe obiady domowe. Moje osobiste zdanie się tu nie liczy, bo jedną rzecz ganię w jedzeniu: że odbiera apetyt. Że się je zdrowo, dowodem jest chociażby ten fakt, że nasze żołądki przestały się upominać o swoje zakatarzone prawa.

*Choryś człek, idź bracie na wojenkę!
Straw ten lek, a będziesz żył przez wiek!*

Tak mówi żołnierska piosenka i to jest święta prawda.

Z punktu widzenia smakoszostwa wojna zawsze psuła kuchnię. Muza żołnierska i na to daje przykłady. Przypominają mi się jeszcze z ubiegłej wojny lamentsy jakiegós leguna karmionego klipfiszami:

*Smutno mi Boże!
Dla mnie o zachodzie
Rozlewa kucharz z kotła czarną kawę,
W południe daje w lazuruwej wodzie
Mięso tłustawe!
A ten komiśniak, gdy do gęby włoży,
Smutno mi Boże!*

Nasza kuchnia żywi nas lepiej. Do naszej jadłodajni możnaby raczej zastosować z »Pana Tadeusza« następujący wiersz:

— *Wszystko wyborne, wszystko sposobem domowym,
— Przy palone na ogniu w dymie jalowcowym*

BARBARA KRÓLÓWNA

PRZECHODNIOM...

*... Najśpiwniejsza z melodji pobraża,
Wciska się w zakamarki rudego miasta
Opływając je aureolą —
Mgła różowa deformuje statki,
Obojętnie zatruwa latarnie
W pustce gęstej rozetkanej wiolą.*

*Zapomnienie to potrzebne i najtrudniejsze
W srebrzysto-czerwone konary
Perli się wina tykami,
Czarna, zimna noc wylewa serce po kropki
W bezgraniczne morza ciszy,
Gorzkiimi podwodnymi łzami.*

*Na granatowym piasku plaży,
Chrystus palcem pisze grzechy
Twojej duszy.
Zimne gwiazdy chłodnym cieniem
Mówią świetlne legendy
Seledynem perłowej głuszy...*

Z tym ogniem jednak jest w naszej kuchni najgorzej, bo opału nie można ani wenni, ani kapni. Jest jednak na to rada. Istnieje przecież w naszym obozie druga dietetyczna, konkurencyjna kuchnia pani O. Otóż należy zamotać misterną intrygę pomiędzy obiema kuchniami, zaognić stosunki, doprowadzić do stanu wrzenia, a potem... tylko przystawiać garnki i gotować.

Obsługa w naszej jadłodajni jest zorganizowana na staro-rzymskiej zasadzie. »Bediene dich selbst« Kolejdy kolejno w dyżurach roznoszą dania mięsne, leguminy, czarną kawę i t. p. Czasem zdarzy się i polewka (sosem po ubraniu), ale to jest niegroźne dzięki znakomitemu wynalazkowi naszych pań z kuchni: »nieplamiących sosów«.

Ale oto dojrzałem do jedynej bolączki naszej kuchni bolączki, która spowodowała napisanie niniejszego felietonu. Za długo trwa wydawanie potraw! Dużo się czasu traci na czekanie między jednym daniem a drugim. Zakończę więc mój felieton wierszem Wyspiańskiego, który poeta napisał na ścianie krakowskiej kawiarni, w odpowiedzi na wiersz Rydla — w nadziei że zarząd naszej jadłodajni wyciągnie z niego właściwy wniosek:

*Szkoda panie Rydel, szkoda
Drogi czas na niczem trawić!
Pono jeszcze jesteś młody!
Jeszcze można się poprawić!*

A. BOCHEŃSKI

ŻOŁNIERZ Z RACŁAWIC

Myśl dokonania tego wyczynu zrodziła się dość niespodzianie. Było to na patrolu. Skład: 1 i 3. Wśród tych trzech był jeden podchorąży praktykant. Praktykanci są bardzo mile widziani na pierwszej linii, gdyż zwiastują odlot, choć z reguły są niezapro-wiantowani i jedzą za dwóch. Drugi był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, jednym z tych wspaniałych żołnierzy Polaków z Francji, przy tym genialny kucharz i znawca przekleństw we wszystkich możliwych narzeczach. Trzeci strzelec J., urodził się i mieszkał do r. 1939 w Racławicach. Pomimo tak znakomitej przynależności geograficzno-wojskowej, aż do przyjazdu do Tobruku nie okazywał żadnego zamiłowania do wojskowości koszarowej. Około trzech czwartych czasu przebywał we wszystkich możliwych szpitalach na Środkowym Wschodzie, chorując na wszystkie możliwe choroby, począwszy od oczu, a skończywszy na żylakach. Poza tym miał ostry zatarg z szefem kompanii na temat mułów. Kierował samochodem i absolutnie nie chciał obsługiwać tego zwierzęcia. Zasłaniał się żylakami, spał do dziewiątej i nie chciał słyszeć o mułach. Jako surowy sierżant patrzyłem się więc na niego krzywym okiem, dopóki nie dowiedziałem się, że pochodzi z Racławic, co ze względów historycznych zlekka zmieniło mój stosunek do niego.

Przyznaję, że idąc na patrol, miałem lekkiego stracha. Zadanie było dość trudne i w tamtych stronach byłem już kilkakrotnie solidnie ostrzelany przez najrozmaitsze Bredy, Fiaty i Schwarzlose. Przez jakie dwa kilometry szedłem z wszystkimi możliwymi ostrożnościami. Gdy jednak zaczęliśmy podchodzić bliżej nieprzyjaciela, wrodzona fantazja zaczęła brać górę i zachowywaliśmy się z właściwą mi hałaśliwością, która stanowi przedmiot rozpaczy żołnierzy całej kompanii. Czytelnicy orientują się zapewne, w jakim rejonie leżą zazwyczaj wieże obserwacji artyleryjskiej nieprzyjaciela. Na miejsce przeznaczenia udało się nam dotrzeć szczęśliwie pomimo czujnych posterunków włoskich.

Po zdjęciu przez praktykanta nieskończonej ilości kątów kierunkowych, chciałem już nakazać odwrót, rzuciwszy ostatnie pożegnalne spojrzenie na stanowiska nieprzyjaciela. Dostrzegłem wówczas jakąś podejrzaną postać, stojącą o około 200 m od nas. Początkowo przywarliśmy do ziemi, jako patrol rozpoznawczy, a nie bojowy. Po chwili jednak odczułem wyrzuty sumienia i przypomniałem sobie nauki naszego kapitana, aby »likwidować drobne patrole nieprzyjaciela«, wobec czego nakazałem natarcie. Bagnetu na broń nie potrzebowaliśmy nasadzać, gdyż australijskim zwyczajem bagnetów w żadnych okolicznościach nie zdejmujemy.

Chciałem tak przeprowadzić swój manewr, jak Hannibal pod Kannami. Ja obchodziłem nieprzyjaciela z lewej strony, legionista trzymał środek, a J.

i praktykant stanowili prawie skrzydło. Po chwili stwierdziliśmy jednak, że nieprzyjaciel zachowuje się dziwnie nieruchomo i odznacza się ogromnym wzrostem. Wreszcie okazało się, że nie jest to człowiek, ale wieża włoskiej obserwacji artyleryjskiej. Wieża ta była drewniana, ale wyposażona w pręty żelazne. Pierwszą myśl, by ją spalić, uznałem za szaleństwo i zarządziłem odwrót.

Człowiek inaczej patrzy na świat w noc bezksiężycową i w odległości 5 km od własnych stanowisk, a inaczej po powrocie do schronu. Prędko więc zdecydowałem się na powrót do wieży i spalanie jej, na co z entuzjazmem zgodził się strzelec J.

Plan polegał na podpaleniu wieży przy użyciu 10 metrowego lontu, który umożliwiłby nam przebiegnięcie przed właściwym pożarem około kilometra. Cały dzień zużyliśmy na kompletowanie materiałów palnych takich jak lont, ładunki z prochem, benzyna, szmaty itp. Wszystko razem stanowiło pokazny tobił. Ambicją naszą było skompletować nasz arsenał wyłącznie z materiałów włoskich. Ostatecznie angielską była tylko jedna z manierek z benzyną, do której uprzednio wpadła mysz.

Wyruszyliśmy jak tylko ściemniało. Strzelec J. niósł tobił z paliwem i pistolet maszynowy Thompsona. Ja niosłem karabin z bagnetem, busołą i drogocenny zwój lontu, pokrajany według wskazówek saperów »tak jak kiełbasa«.

*Gwiazdami miał drogę znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po stepie zaufał w sztylęcie,
Bo sztylet mu dała dziewczica.*

Ta zwrotka kołatała mi w głowie, gdy zapuszczałem się w pustynię. Prawdą było to, co w niej poeta mówi o błądzeniu, i prawdą to o gwiazdach, ale gwiazdy w nocy zazwyczaj widać, a cyfr na busoli angielskiej absolutnie zobaczyć nie można. Zamiast sztyletu miałem pistolet i nie dała mi go żadna dziewczica, ale strzelec Szymała. Niestety, ze względu na ścisły kąt kierunkowy, dany mi przez Anglików, postanowiłem się orientować przy pomocy busoli. Musiałem liczyć kroki, aby odliczać odległości, a do tego przystawać co 500 kroków i sprawdzać kąt.

Na 1500 m od stanowiska położyłem się na piasku i zacząłem manipulować busołą, celem poprawienia kierunku. Wychodziło, że mamy iść na gwiazdozbiór Łuczніка, co mnie specjalnie ucieszyło, gdyż mam słabość do tej konstelacji. Kilkaset kroków dalej z najwyższym przerażeniem zauważyłem, że czegoś mi brak. Okazało się, że brak mi lontu, który w czasie ostatniego postoju zostawiłem na krzaczku. Rozpoczęliśmy odwrót celem odnalezienia lontu. Szukaliśmy go przez przeszło godzinę. W końcu ręce nam opadły i stanęła przed nami potworna perspektywa powrotu z niczym do domu i zameldowania plutonowi, że zgubiliśmy lont. Mój towarzysz oświadczył, że bezwzględnie wracamy, gdyż palenie zapałkami w odległości 100 m od linii włoskiej jest szaleństwem.

Byłem tak zrozpaczony, że mój strzelec J. zaproponował, aby posunąć się jeszcze dalej pod nieprzyjaciela, oddać tam kilka serii z Thompsona i powrócić, opowiadając, że napotkaliśmy patrol włoski i po walce wycofaliśmy się na z góry upatrzone stanowiska. Uchwyciłem się tego pomysłu przypuszczając, że mój towarzysz zmieni w międzyczasie zdanie. Dla ułatwienia mu tej zmiany wzięłem na swoje barki tobił z paliwem. Po przejściu nowego kilometra oświadczyłem stanowczo, że decyduję się iść dalej, na co J. powiedział, że również i on idzie. Zdębiałem i zimno przeszło mi przez kręgosłup na myśl, że mogę być odpowiedzialny za życie tego człowieka.

Wszystko byłoby się skończyło na błądzeniu po pustyni, gdyż te dyskusje zagmatwały nam kwestię kątów kierunkowych. Wychodziliśmy kilka razy na włoskie pola minowe. Skręcaliśmy na prawo i na lewo i znowu na prawo. Już nam się zdawało, że trzeba będzie dać spokój temu wszystkiemu, gdy nagle wieża zamajaczyła w naszym sąsiedztwie.

Teraz już nie mieliśmy wątpliwości, że trzeba ją podpalić. J. wykonał większą część roboty, a ja ograniczałem się do pocierania słupów benzyną i oblewania szmat naftą. Włosi milczeli tymczasem jak ryby, noc była ciemna, choć oko wykol, w oddali słychać było tylko szczekanie psów. Nadeszła chwila decydująca, kiedy trzeba było wydobyć zapałki i podpalić proch, od którego miały się zająć szmaty i cała wieża. J. wyciągnął pudełko i w ciągu kwadransa zapalił 10 zapałek, które jednak szybko gasły. Wreszcie płomień chwycił proch. My w jednej chwili za karabiny i w nogi, a dokoła zrobiło się jasno, jak w dzień, gdyż wieża w ciągu paru sekund stanęła w płomieniach.

Pierwszy strzał padł, gdyśmy byli o 10 kroków od wieży, i zaraz z trzech stron odezwała się linia włoska. Włosi mają zwyczaj strzelać w nocy przeważnie nabojami świetlnymi, więc przed nami roztoczyło się coś w rodzaju niesamowitego fajerwerku. Według obliczeń angielskiej obserwacji artyleryjskiej strzelało około 50 włoskich broni maszynowych i wystrzelało razem około 20.000 naboju. Poza tym strzelały »skorpiony« czyli włoskie moździerz okopowe, duże moździerz i wreszcie działka ppanc Breda. Te ostatnie były chyba najgorsze. Strzelają bowiem świetlnymi pociskami o torze niesłychanie płaskim, tak że pocisk leci nad samą ziemią. Wygląda to tak, jakby posuwał się bardzo powoli naprzód, odbijając się często od ziemi. Czasem chciałoby się uchylić i tak uniknąć zderzenia z tym pociskiem, czasem chwycić go i nie puścić dalej.

Na szczęście włoska broń maszynowa... z wyjątkiem może rkm Breda... to graty, które mają zwyczaj psuć się i stawać co chwila; poza tym trzeba wymieniać taśmy itp. Co pewien więc czas zdarzały się krótsze i dłuższe przerwy w ogniu, które umożliwiały nam skoki. W pewnej chwili zauważyłem, że mój towarzysz wali się na ziemię, zadzierając nogi do góry. Myślałem, że już po nim. Okazało się jednak, że po prostu wpadł do leja granatnego

W każdym razie stwierdziłem, że jego żyłki uległy gruntownemu wyleczeniu i przypuszczam, że nawet dowódca naszej kompanii, który jest rekordowym, europejskiej sławy biegaczem, nie mógłby mu dorównać. W tych warunkach nie było mowy o badaniu busoli, zresztą zupełnie o tym zapomniałem. Ale gwiazdy oddały nam usługę, gdyż stwierdziłem, że Kassiopea znajduje się na lewo od nas, to znaczy że mój towarzysz w błyskawicznym tempie zbliża się do prawego skrzydła stanowisk włoskich. Cudem udało mi się go wstrzymać i wziąć właściwy kierunek na Łabędzia. Dotarliśmy do własnych stanowisk, wytrzymawszy po drodze idealnie nieszkodliwy ogień artylerii włoskiej.

Na drugi dzień rano stwierdziłem, z obolałymi kolanami, że na miejscu, gdzie stała wieża, widnieją tylko rusztowania z prętów żelaznych.

Co dalej? Dla miłośnika tradycji wojskowej będzie rzeczą miłą dowiedzieć się, że w pierwszej promocji Krzyża Walecznych w Brygadzie Karpackiej znalazł się żołnierz, który pochodzi z Raclawic.

J. R.

O KSIĄŻCE POLSKIEJ

Wśród ogromu tragedii spadłej na naród nasz w ostatnich latach obok tysięcznych ofiar ludzkich, obok ogromu tragedii osobistych, obok olbrzymich strat materialnych kraju, po którym po raz trzeci toczy się potężny walec wojny, równie olbrzymie są straty kulturalne, olbrzymie wyrwy w zakresie dorobku kulturalnego na ziemiach polskich. Ciosy uderzyły i w książkę, ten najtrwalszy dokument ludzkiego ducha. Wszystkie ciosy, jakie się dały zawsze na nasz naród właśnie w tę książkę polską rykoszetem uderzały. Gdy przewalił się przez ziemie polskie «potop» szwedzki, gdy obce żołądactwo panoszyło się w naszym kraju, obcy gubernator rzucił z Wawelu w ślad za zrabowanymi bogactwami, za łupami wojennymi i książka polska stała się takim samym łupem i całe zbiory, owoce wielkiego nieraz wysiłku, prace całych pokoleń, dokumenty wysokiej kultury złotego wieku Jagiellonów — wszystko to powędrowało na północ, gdzie jeszcze nie jedne ślady rabunków na bibliotekach i zbiorach polskich znajdzie po półtora wieku uczonego biskup Albertrandi. Ale geniusz polski nie założył rąk, Polska, nawet ta «ciemna» Polska czasów Saskich, znów zbierać zaczęła książki, słusznie widząc w nich dokument nieśmiertelności ducha ludzkiego, znów powstały olbrzymie zbiory chluby przynoszące ówczesnej kulturze polskiej. Aliści znów nadeszły czarne dni dla narodu, i znów wróg pastwić się zaczął nad książką. Jeszcze nie przebrzmiał jęk mordowanych na Pradze, jeszcze unosiły się opary pogorzeliśk, jeszcze nie podpisane były akty ostatniego rozbioru — finał tragedii dawnej Rzeczypospolitej a już długie sznury wozów opuszczały Warszawę w kierunku północno-wschodnim. Tak w asyście kozaków rabował zaborca Bibliotekę Żałuskich. Świadkowie tego rabunku

opowiadają że gdy któreś książki nie dobrze się pakowały, kozacy aby uprościć zadanie cięli je pałaszami... Razem zrabowano 300.000 książek, 12.000 rękopisów, 25.000 rycin... A rabunek prywatnych bibliotek? Z samego Nieświeża w r. 1795 zabrano 17.000 tomów...

Ale po wstrząsach rozbiorczych przyszedłszy do życia naród nie dał jeszcze raz za wygraną i znów uwagę swą zwrócił na książkę. W wielkim prądzie pracy kulturalnej, który wytworzył się jeszcze w pruskiej Warszawie a potężniał poprzez Księstwo Warszawskie aż do Królestwa Polskiego nie brakło i zbieraczy, bibliofilów, miłośników książek. Znów z ofiarności publicznej, jak grzyby po deszczu, tworzą się nowe zbiory, mnożą się z darów, zapisów, stają się oczkiem w głowie społeczeństwa. Powstaje, olbrzymia biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Tadeusz Czacki do Krzemieńca ściąga dawną bibliotekę Stanisława Augusta, koło której gromadzą się teraz nowe zbiory, powstaje biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Wileńskiego...

I znów wstrząs 1831 r. zniszczył cały ten z takim trudem nagromadzony dorobek. Znów wróg na książkach poszukiwał zemsty za żywotność polskiego ducha narodowego. I znów wędrowały biblioteki polskie za Nową, znów kraj ogołacał się z książki. W r. 1832 z samej biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk zrabowano 20.000 książek i 1000 rękopisów, z biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego 100.000 książek i 89.000 rycin, z Uniwersytetu Wileńskiego 50.000 książek, z liceum Krzemienieckiego 80.000, poza tym ofiarą rabunku stały się biblioteki jezuickie z Połocka, prywatne z Dereczyna, Sieciechowa i wiele, wiele innych...

Lecz tak jak po tamtych wszystkich klęskach duch narodowy jak Feniks z popiołów zawsze zmartwychwstał i triumfował, tak i książka polska tak prześladowana i niszczona znów znajdowała opiekunów, znów odzyskiwała prawa. Prawie pod ogniem kartaczy moskiewskich ratowano i ewakuowano do Galicji zbiory puławskie, które po półwiekowym pobyciu w Paryżu utworzyły w Krakowie archiwum i bibliotekę ks. Czartoryskich. Na emigracji pietyzm dla polskiej książki wytworzył Bibliotekę Raperswilską i Batignolską w Paryżu; w kraju powstawały i krzepły nowe zbiory Raczyńskich, Świdzińskiego, Krasińskich, Kierbedziów. Zapisy hojnych ofiarodawców, ofiarność publiczna znów wytworzyła nowe wielkie ośrodki polskiej książki jak Biblioteka Publiczna w Warszawie, Ossolińskich we Lwowie, Wróblewskich w Wilnie. Kataklizm 1914—1918 zahamował ten wspaniały rozwój, znów wiele książek powędrowało na północ z ewakuacją 1915 roku, wiele innych stało się ofiarą łupu wojennego. W pogromie Kresów polskich trwającym do 1921 razem z polskością tych ziem ofiarą znów się stała polska książka. Niejedna cała biblioteka stała się pastwą namiętności wojennych czy rewolucyjnych; tłum pastwił się nie raz nad książkami, które wały się po całym dworze, służąc do najniższych celów, czasem biblioteka, dzieło wielu pokoleń sła z dymem dla uciechy żołądactwa, tak jak przed 120-laty robiono sobie uciechę z cięciem pałaszami zrabowanych książek z biblioteki Żałuskich...

ŻYCIE UCHODŹCZE

NIEDZIELA W SZENTENDRE

Dużo już pisano na temat świetlic obozowych, podnosząc ich znaczenie kulturalne dla środowiska. Ja chcę tylko do tego dodać, że znalazłszy się przypadkowo pewnej pochmurnej niedzieli w Szentendre, uznałem, że świetlica zwłaszcza w czasie zimy, już spełnia swoje zadanie, dając obozowiczom ciepły kąpiel. Owej niedzieli było zimno, a wiatr bynajmniej nie zachęcał do spaceru. Można wstąpić do »vendéglő«, ale poco, skoro tuż w centrum miasta na Fő-tér jest świetlica polska. W kilka chwil później rozkoszowałem się ciepłem dobrze napalonej izby i słuchałem radia. Lokal mały, udekorowany według przepisów świetlicowej modły; stół, krzesła, szafa, na stole gazety. Podłoga tylko wskazywała na to, że pozycja czystości w budżecie była niedostatecznie duża. Najważniejsze jednak, że piec dobrze funkcjonował, że można było pokibicować w gronie szachistów, oraz pogawędzić z rodakami w obcym mieście, w ojczystym języku. Rzecz oczywista wszędzie są te same kłopoty: wyczekiwanie, walka o byt, nauka i t. p. Sam obóz powstał w roku 1941 i poza miastem Szentendre obejmuje wsie, Leányfalu, Budakalász i okolice. Razem wzięwszy, obóz liczy 4 ludzi, z tego obecnie 40% pracujących. Fabryka, warsztat rzemieślniczy, pole — oto tereny pracy uchodźców. Jest również samodzielna placówka: hodowla królików angorowych, w Leányfalu. Niestety ma być zlikwidowana, gdyż jak to mówią, nie opłaca się skórka za wyprawę, gdyż utrzymanie królików drogie, a za skórki mało płacą. Wielu uchodźców pracuje w sadownictwie. Położona tuż obok dworca w Szentendre szkółka owocowa, to w znacznej mierze praca polkich rąk.

— Początek naszej pracy był trudny, — powiada jeden z uchodźców (przed wojną znaczna figura w Warszawie), — pot się lał z człowieka strumieniami, pękały kości w krzyżach i ręce puchły. Ale się przemożliśmy. Praca już potem nie była tak ciężka. Oczywiście pracowaliśmy dobrze. Nic odwalaliśmy byle jak roboty, nie patrzyliśmy na nią jak na zło konieczne. Rezultaty nie dały długo na siebie czekać: ogród przybrał wygląd staranny, właściciel był zadowolony, a dobre imię Polaków w okolicy zapewnione. — W dwie godziny, po naszej rozmowie miałem możność przekonać się osobiście o stosunku ludności do polskich uchodźców. Jadłem obiad w gospodzie, której właścicielka miesiącami kredytowała wyżywienie uchodźcom w okresie, kiedy z przyczyn natury manipulacyjnej nie otrzymywali w terminie zapomóg.

Dziś Szentendre oczekuje wiosny, która ma w tym mieście swój szczególny urok. Można wtedy wyjść na okoliczne pagórki, popatrzeć jak wieże kościołów złocą się w słońcu, oddechnąć świeżym naddunajskim powietrzem, aby nabrawszy sił, znów stanąć do pracy tak wydatnie skrcającej czas. Wiosną — latem — jak mówi starszy obozu — liczba uchodźców pracujących przekracza 70%. Pracują wszyscy z wyjątkiem dzieci i chorych. F.

KOMUNIKATY

Sąd Konkursowy wyłoniony przez Komisję Kulturalno-Oświatową dla osądzenia prac przysłanych na Konkurs Komitetu Obywatelskiego, w składzie: prof. Stefan Grzybowski, Edward Janus, Stanisław Opoka-Loewenstein, Bohdan Stypiński, Stanisław Wujkowski odbył 4 posiedzenia, na podstawie których podaje do wiadomości następujące wyniki konkursu.

1. na Konkurs nadesłano 9 prac, z których 3 nie odpowiadają ogłoszonym warunkom Konkursu.

2. z prac zakwalifikowanych do ściślejszej oceny Sąd postanowił przyznać równorzędne nagrody, wyznaczone przez Komitet Obywatelski w wysokości po 50 pengő.

A. Pracy pod godłem »Tandem« kpt. Franc. Persowskiego (Gencsapáti): Konstytucja i zagadnienia ustrojowe Polski.

B. Pracy kpt. Romana Sierocińskiego (Zalabár): »Zagadnienia geopolityczne Polski«.

3. Pozostałe prace postanowić no zalecić jako podstawę do artykułów w »Tygodniku Polskim« i zwrócono się do Komitetu Obywatelskiego z wnioskiem o przyznanie ich autorom gratyfikacji w wysokości po 50 p. Dotyczy to prac:

1. Leona Kaltenbergha: »Zagadnienia kulturalne Polski«.

2. Romana Miszewskiego: »Zagadnienia gospodarcze Polski«.

3. Romana Sierocińskiego: »Zagadnienia gospodarcze Polski«.

4. Franc. Ciepeli: »Rybacko jako jedna z podstawowych dźwigni gospodarstwa rolnego w Polsce«.

5. Rom. Śliwy: »Rozwój Rolnictwa w państwach naddunajskich«.

6. Stanisława Szarka: »Warsztat rolny«.

Komitet Obywatelski postanowił przychylić się do wniosków Sądu Konkursowego, przy czym podniósł wysokość nagród za 2 prace nagrodzone do P. 100.—.

Przypominamy o wpłacie prynu neraty za bieżący miesiąc. Zalegającym z wpłatą prenumeratom zostanie wstrzymana wysyłka pisma.

Wpłaty dokonać można na konto czekowe Nr. 19.06

»Tygodnik Polski-Materiały Obozowe« wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTÁR
Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.

Przedpłatę należy wpłacać blankietem czekowym na konto Nr. 19.062.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-utca 31. III. em. 11. telefon: 12—53—20.

441013 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum S. A. pod dyrekcją: Antal Kárpáti.